

ŚMIERĆ NA POŁONINACH ZAKARPACIA

Mečislav Borák

Górzysta kraina w dorzeczu prawobrzeżnej górnej Cisy należy do najpiękniejszych w całych Karpatach, najdłuższym paśmie gór Europy, spinającym szerokim obłakiem rumuńskie niziny nad dolnym Dunajem z Cieszyńskimi Beskidami. Już pierwsze nieśmiałe połoniny w Bieszczadach pozwalają przeczuwać uroki, które na miłośników gór czekają za Przełęczą Użocką: nad ścianą lasu pną się ku niebu powłóczyście, trawiaste grzebienie gór, nazywanych, podobnie jak nasze, Beskidem, tyle że Wschodnim. Podobno przez te góry pędzili kiedyś swoje owce aż do naszych stron Wałasi.

Wędrowiec wrażliwy i wtajemniczony może jednak odnaleźć na połoninach także ślady inne, niespodziewane, które zaprowadzą go aż do Cieszyna. U schyłku 1938 roku bowiem w polskich oddziałach bojowych i dywersyjnych działało około pięćdziesięciu Polaków ze Śląska Cieszyńskiego, przede wszystkim zaś z Zaolzia. I choć wielu z nich od państwa polskiego otrzymało wysokie odznaczenia, o ich działalności z pewnych względów nie mówiło się wiele ani w Polsce, ani u nas. Dopiero kilka lat temu w wojskowym archiwum w Moskwie zostały odtajnione zbiory Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego, wywiezione przez Sowietów z Polski jako korzyść wojenna, a już wcześniej, na początku wojny, po raz pierwszy skradzione przez niemieckich okupantów. Niedawno został opubliko-

wany wybór z tych dokumentów. Kiedy czytałem meldunki z działań bojowych oddziałów, uderzył mnie niezwykle sposób wykazywania strat własnych: prócz zwyczajowych rubryk dla rannych, wziętych do niewoli i zaginionych wśród poległych bojowców byli osobno wykazywani zabici i rozstrzelani. Skąd ten podział? Czyżby oznaczało to, że nie wszyscy polegli w walce? Tak przynajmniej w swoich wspomnieniach twierdzi Józef Kasperek, jeden z bojowców.

Postanowiłem więc wysłuchać również drugiej strony i polskie źródła porównać z dokumentami Oddziału II Sztabu Głównego Armii Czechosłowackiej. W pozostałych meldunkach pełny emocji szukałem szczegółów, mogących dopełnić obraz awanturniczej wyprawy oddziału Kasparka, gdzie

było również czterech mężczyzn z Zaolzia. I chociaż dochowane akta urzędowe były w znacznym stopniu przerzedzone, w końcu jednak w jednej z teczek archiwalnych natrafiłem na kopertę, a w niej fotografie i kilka ręcznie pisanych listów, które obiecywały dać wiarygodną odpowiedź na wcześniej postawione pytania. I wówczas te dramatyczne wydarzenia, które rozegrały się sześćdziesiąt lat temu, zobaczyłem nagle w o wiele jaśniejszym świetle.

Zanim jednak zapoznam was z nimi, muszę choć na chwilę cofnąć się do wydarzeń, poprzedzających tamte wypadki, ponieważ bez poznania, chociażby pobieżnego, uwarunkowań historycznych, żadna, nawet ta najlepsza opowieść, nie może się obejść.

Geneza i przebieg akcji „Łom“

W polskiej terminologii kraj pod połoni-
nami nazywano najczęściej Rusią Zakarpac-
ką, w użyciu były również nazwy Ruś Wę-
gierska, Podkarpacka, Karpacka lub Ukraina
Węgierska, Mukaczewska i Zakarpacka.
Chociaż historycznie kraj ten przez całe
wieki należał do Węgier, przeważającą
większość jego mieszkańców zawsze stano-
wili Rusini. Po pierwszej wojnie światowej
nie przypadł jednak ani Węgrom, ani Ukra-

inie czy Rosji, lecz zgodnie z wolą więk-
szości rusińskich polityków decyzją państw
sprzymierzonych na konferencji pokojowej
w Paryżu stał się częścią Republiki Czecho-
słowackiej. Fakt ten stwierdzały umowy po-
kojowe zawarte z Austrią (10.9.1919 w Saint
Germain-en-Laye) i Węgrami (4.6.1920
w Trianonie), które uznawały ważność i nie-
tykalność nowej granicy państwowej. Póź-
niejsze węgierskie rządy jednak zaczęły dą-
żyć do rewizji umów i dla swoich planów
staraly się pozyskać poparcie Polski, która
nie zapomniała o własnych sporach terytori-
alnych z Czechosłowacją o Śląsk Cieszyński,
Spisz i Orawę. Ożywienie stosunków pol-
sko-węgierskich budziło w CSR uzasad-
niony niepokój, podobny temu, który w Pol-
sce kazał obawiać się czechosłowackich
kontaktów z Ukrainą i Rosją. Z polskiego
punktu widzenia przyłączenie Rusi Zakar-
packiej do Węgier zmniejszyłoby zagrożenie
Polski od Wschodu, jednocześnie było
zgodne polskimi wyobrażeniami mocarst-
wowymi o przyszłym uporządkowaniu
Europy środkowej i wschodniej. To jednak
było w całkowitej sprzeczności z celami
czechosłowackiej polityki zagranicznej.

W obliczu napiętych stosunków między-
narodowych, które w drugiej połowie lat
trzydziestych ubiegłego wieku panowały



*Północna granica
czechosłowackiej
Rusi Zakarpackiej
z Polską w latach
trzydziestych,
na planie pierwszym
funkcjonariusz
straży finansowej
(zdjęcie ze zbiorów
autora)*

w Europie, polska dyplomacja spodziewała się rychłego rozpadu Republiki Czecho-słowackiej, toteż znaczenia zaczęła nabierać kwestia utworzenia wspólnej polsko-węgierskiej granicy na Rusi Zakarpackiej. Jednak jeszcze we wrześniu 1938 r. Węgry polskie apele wzywające do rozpoczęcia akcji bojowych na Rusi Podkarpackiej przyjmowały z rezerwą, obawiając się reakcji czechosłowackich sojuszników z Małej Ententy, Jugosławii i Rumunii, i bardziej liczyły na zaspokojenie swych żądań drogą dyplomatyczną. Polacy stawiali Węgom za wzór sukces swej własnej „akcji specjalnej” na Zaolziu i obiecywali ciche poparcie wojskowe w razie węgierskiej operacji na Rusi Zakarpackiej. Węgry zdecydowały się na nią dopiero po konferencji w Monachium, aby mieć wpływ na decyzje w sprawie swych roszczeń terytorialnych w czasie późniejszych negocjacji, odbywających się w Komarnie. Na początku października wysłały więc na Ruś Zakarpacką ponad siedmiuset uzbrojonych bojowników w oddziałach dywersyjnych i sabotażowych. Ale wojsko czechosłowackie wspierane przez żandarmerię i oddziały Straży Obrony Państwa (Straże obrany stątu) już w połowie października okrążyło węgierskie oddziały i zmusiło je do kapitulacji. Tylko niewielkim grupkom i pojedyńczym bojowcom udało się wyjść z okrążenia i przedostać się na teren Polski. Atak węgierski zakończył się więc fiaskiem, niemniej do sporadycznych napaści dochodziło jeszcze w czasie, gdy 2 listopada komisja arbitrażowa w Wiedniu przyznała Węgom rozległe, południowe tereny Rusi Zakarpackiej oraz Słowacji i ustanowiła nową granicę.

W Polsce niepowodzenie węgierskiego ataku upatrywano przede wszystkim w braku odpowiedniej koordynacji z polskimi oddziałami. Szef Sztabu Głównego WP gen. bryg. Wacław Stachiewicz już 7 października wydał wprawdzie rozkaz dotyczący przygotowań do operacji dywer-

syjnej i sabotażowej na Rusi Zakarpackiej, rozkaz rozpoczęcia samej akcji został jednak wydany dopiero po załamaniu się węgierskiego ataku, 19 października 1938 r. W dzień później odjechała do Budapesztu polska misja w celu uzgodnienia koordynacji działań dywersyjnych, a 22 października na czechosłowackie terytorium Rusi Zakarpackiej wszedł, przekraczając granicę, pierwszy polski oddział.

Operacji nadano kryptonim „Łom”, a jej dowódcą został major Feliks Ankerstein, zastępca szefa Ekspozytury 2 Oddziału II Sztabu Głównego. Przebiegała w dwu fazach, od 20 października do 5 listopada i od 10 do 25 listopada 1938 r. W pierwszej fazie na Ruś Zakarpacką przeniknęły patrole i oddziały, które wysadzały strategiczne mosty, po drodze zaś likwidowały posterunki żandarmerii i straży granicznej. W drugiej fazie, po reorganizacji, zostało utworzonych siedem dużych grup dywersyjnych, każda po około osiemdziesięciu ludzi, i wysłanych w głąb terytorium, gdzie dokonywały napadów dywersyjnych. Otrzymały też zadanie wspierania zapowiadanego węgierskiego ataku wojskowego, dlatego 18 listopada akcja „Łom” została podporządkowana dowódcy okręgu VI grupy wojsk generałowi W. Langnerowi. W tym czasie jednak nie doszło jeszcze do ataków zbrojnych, przede wszystkim w obawie z reakcji Niemiec, które złożeńą sytuację Rusi Zakarpackiej wykorzystywały we własnych grach dyplomatycznych. Z polecenia Warszawy 25 listopada operacja „Łom” została wstrzymana, niemniej później doszło jeszcze do kilku pojedyńczych ataków. Podaje się, że w czasie trwania tej operacji polskie oddziały przeprowadziły ponad pięćdziesiąt akcji dywersyjnych i bojowych. W czasie działań zginęło jedenastu bojowców, co najmniej tylu samo martwych było po stronie czechosłowackiej. (Polskie źródła w rubryce „straty nieprzyjaciela” podają nawet 23 osoby).

Zaolziacy na Rusi Zakarpackiej

Trzon pierwszych polskich jednostek dywersyjnych wprowadzonych do akcji na Rusi Zakarpackiej tworzyli przeważnie członkowie Organizacji Bojowej z Zaolzia. Oddział II Sztabu Głównego nie posiadał na Rusi Zakarpackiej ani kontaktów, ani poparcia miejscowej ludności. Musiał więc zrezygnować z włączenia jej do działań dywersyjnych. Z tego też powodu właśnie Zaolziacy najlepiej nadawali się do tych zadań: mieli zaprawę wojskową, byli częściowo przeszkoleni w obchodzeniu się z materiałami wybuchowymi, pomimo tego że w wyniku odstąpienia Polsce Zaolzia bez walki przeważnie nie zdążyli nawet wykorzystać swych kwalifikacji. Teraz na Rusi Zakarpackiej mieli dostać szansę. W odróżnieniu od swoich kolegów z Polski dobrze znali język czeski, a będąc jeszcze niedawno obywatelami czechosłowackimi, posiadali potrzebne dokumenty, niektórzy nawet mundury czechosłowackiej armii. Już 8 października z Cieszyna ku granicy Rusi Zakarpackiej odjechała pierwsza grupa, a krótko po niej podążały następne. Jeszcze przed wyjazdem ochotnicy złożyli przysięgę na wierność Ojczyźnie i ślubowali, że dochowają tajemnicy i będą gorliwie wypełniać rozkazy przełożonych. Zgrupowano ich w pustym o tej porze schronisku narciarskim w Rozłuczu pod Turką, po polskiej stronie granicznego grzbietu Karpat, i tam dołączyło do nich kilku warszawskich studentów i innych ochotników ze wschodnich, przygranicznych terenów Polski. Przebiegało intensywne szkolenie i zapoznawanie się z bronią i miejscowym górskim terenem. Prawie natychmiast też przystąpiono do nowego werbunku ochotników, przede wszystkim z okolic Stryja, Doliny, Stanisławowa, Turki, Leska, Sanoka i in. Dodatkowo zwerbowano około 250 członków Związku Strzeleckiego z Małopolski Wschodniej oraz z rejonu Lwowa i Przemyśla; dla nich zostały utworzone ośrodki szkole-

niowe w Stryju i Turce. W drugiej fazie operacji „Łom” do werbunku ochotników włączyły się także inne organizacje i związki z szerszej okolicy, a armia oddała do dyspozycji II Oddziału 46 oficerów, 67 podoficerów zawodowych oraz 70 szeregowych służby czynnej.

Do pierwszych 26 ochotników z Zaolzia dołączyło do końca października kolejnych dwudziestu. Nie wszyscy jednak pochodzili wprost z Zaolzia (część z nich wywodziła się z polskiej części Śląska Cieszyńskiego), ale tylko nieliczni nie mieli doświadczeń z „akcji specjalnej” na Zaolziu. Wielu było fachowcami przeszkolonymi do działań minersko-saperskich, i to oni stanowili trzon niewielkich patroli dywersyjnych (wkrótce zaczęto określać je mianem „oddziałów bojowych”, OB) lub w charakterze minerów byli przydzielani do oddziałów partyzanckich, które doprowadzały ich na miejsce destrukcji, a po drodze wykonywały inne zadania bojowe. Pierwszym oddziałem, który wszedł do akcji na Rusi Zakarpackiej, był samodzielny OB nr 1, dowodzony przez mieszkańca Zaolzia Franciszka Szyndlera z Rychwałdu. W czechosłowackim wojsku osiągnął stopień plutonowego, przed mobilizacją zbiegł do Polski i we wrześniu 1938 r. dowodził już na Zaolziu patrolom Zabłocie. W składzie jego obecnego patrolu znaleźli się także Edwin Waniek z Łazów i Karol Kosak z Suchej Górnej.

Wyruszyli wieczorem 22 października przez górę Jaszeniową i godzinę przed północą przekroczyli granicę państwową. Za zadanie mieli wprowadzić dokonać zniszczenia mostu i linii telekomunikacyjnej na szosie Perecin – Polana, ale ostatecznie spróbowali wysadzić w powietrze bliższy most przez rzekę Latoricę na drodze przy gminie Podpolozje, niedaleko Niżnych Werecek, i natychmiast po wybuchu bez przygód wrócili. W meldunku o przebiegu akcji dowódca podał, że mostu pilnowali dwaj strażnicy, którzy tylko od czasu do czasu do



niego przychodzili, tak więc po zmroku minierom udało się podłożyć pod most ładunek wybuchowy z mechanizmem zegarowym. Czechosłowacki wywiad wykrył, zgodnie z prawdą, że napastnicy wyszli z polskiej wsi Hužné, ale przypuszczał, że dowodził nimi miejscowy obywatel Szczamski (ten był prawdopodobnie jednym z dwu przewodników). Podobno most został jedynie uszkodzony i już nazajutrz czechosłowacki pluton saperów dokonał jego naprawy i most znów służył swemu celowi.

Tak samo szczegółowo można byłoby prześledzić kilkanaście innych akcji dywersyjnych i bojowych Zaolziaków. Nam jednak musi wystarczyć ta oto krótka charakterystyka. OB nr 2 dowodził Franciszek Brzeźniak z Bogumina Szonychla, członkami jego oddziału byli również jego brat Ferdynand oraz Rudolf Stawowczyk ze Skrzeczonia. Oddział był przydzielony do oddziału partyzanckiego nr 1, o którego losach opowiemy później, podobnie jak o losach oddziału partyzanckiego nr 2, do którego został przydzielony OB nr 4 z dowódcą Janem Filipkiem ze Skrzeczonia i członkami

Karolem Musiołem z Zabłocia i Rudolfem Soboszem ze Skrzeczonia. OB nr 3 był samodzielny oddziałem i dowodził nim Leon Sembol z Karwiny, a członkami byli Henryk Ostróżka z Karwiny i Edward Rutkowicz. Ten oddział 26 października zniszczył most i sieć telegraficzną pod Bereznem, tuż przy słowackiej granicy. Samodzielnym OB nr 5 dowodził Otton Bocek z Czeskiego Cieszyzna, w tym oddziale byli również jego brat Karol i Edwin Mojżyszek. Oddział nie wykonał zadania, został zauważony przez miejscową ludność, a jego członkowie pod presją przewodników ugięli się, trotyl zostawili w lesie i zawrócili. Otton Bocek jednak w czasie innej akcji odznaczył się odważnym zniszczeniem mostu niedaleko Siniewirskiej Polany. OB nr 6 dowodzony przez Oskara Körnera z Końskiej (członkiem był m.in. Jan Kiedroń z Lesznej Dolnej) dostał przydział do oddziału partyzanckiego nr 3, ale na skutek wzmocnionej czechosłowackiej obrony zawrócił, nie wykonując zadania. OB nr 7 pod dowództwem Józefa Kluza z Mostów p. Jabłonkowem (w oddziale był też jego imiennik, Ignacy Kluz, i Tomasz Mikesicz, obydwaj tak samo z Mostów p. J.) był przydzielony do oddziału partyzanckiego nr 4, który po potyczce z czechosłowackim wojskiem również się wycofał.

Zaolziacy znaleźli się z pewnością również w innych oddziałach bojowych, np. OB nr 13 poprowadził ponownie Leon Sembol (członkiem był m.in. Paweł Gaura z Końskiej), który w listopadzie brał udział także w trzeciej wyprawie – w ataku na miejscowość Toruń. Do nowych działań weszli też razem ze swoimi bojowcami Franciszek Brzeźniak i Jan Filipek (dowódca OB nr 16). Grupa Zaolziaków stanowiła zresztą trzon oddziału biorącego udział w najsłynniejszej polskiej akcji na Rusi Podkarpackiej, kiedy to 10 listopada w Niżnych Wereckach zostały zniszczone dwa mosty na drodze z Mukaczewa do Wołowca, poczta i poste-

runek żandarmerii w Niżnych Wereckach oraz dwa inne posterunki – w Bielasowicach i Latorce. Bojowcy uprowadzili wówczas do Polski dwudziestu czechosłowackich żandarmów, żołnierzy i funkcjonariuszy straży granicznej. Ta sztuczka powiodła im się dzięki pomysłowi iście teatralnemu: grupa szesnastu bojowców (Franciszek Szyndler, Edwin Waniek, Franciszek Böhm, Tomasz Mikesicz, Rudolf Burian, Alfons Pierzchała, Józef Kominek, Emilian Alter, Stefan Hurkot, Ferdynand Mrajca, Józef Wawrzyczek, Jan Gaura, Karol Strokosz, Paweł Rucki, Rudolf Kobiela i niezidentyfikowany „Myślatycki”) przebrała się w czechosłowackie mundury i udawała zbuntowanych żołnierzy. Prowadził ich Konrad Guderski w mundurze czechosłowackiego porucznika. Otrzymali czeską broń i odtąd mogli porozumiewać się tylko po czesku. Udało im się wywabić z ukrycia czechosłowacką obronę. Żandarmi nie domyślając się podstępów, sądzili, że to ich własna armia przychodzi im z pomocą. Przebrani żołnierze jednak zaczęli ich rozbrajać, broń nałożyli na wóz, a pojmanych prowadzili w kierunku polskiej granicy. Jak podał w raporcie dowódca Guderski, po drodze w dalszym ciągu udawali buntowników: *Maszerując przez wsi zostały obrzucone granatami budynki żandarmerii, szkoły czeskie, wznoszono okrzyki „Precz z Pragą”, „Precz z wojną”, „Niech żyje rewolucja”, „Chcemy przyłączenia do Madziarów”* – oczywiście w języku ruskim i czeskim, rozdawano korony czeskie ludności i tłumaczono, że już dosyć wojny, wojsko się buntuje, rewolucja w Pradze. Na granicy „rebelianci” zostali rozbrojeni i poddani ostrej rewizji osobistej, w odróżnieniu od wziętych do niewoli Czechosłowaków, dla których polskie władze miały słowa ubolewania, udając zaskoczenie takim zachowaniem zbuntowanych żołnierzy, których potem wśród krzyków przewieziono do Turki i dopiero tam w placówce Straży Granicznej zrzucili przebranie. Niektórzy udawali buntowni-

ków jeszcze w następnym tygodniu, próbując w więzieniu w Drohobyczu „urabiać” czechosłowackich jeńców. Widocznie jednak z niewielkim skutkiem, ponieważ jeszcze w marcu 1939 r. w czasie niemieckiej okupacji resztek Czechosłowacji jeńcy w dalszym ciągu przebywali w polskim więzieniu, ale prawdopodobnie krótko potem zostali zwolnieni.

Ale już chyba najwyższy czas wrócić do obiecaney historii, której uwerturą były dwie w sumie udane akcje dywersyjne i bojowe z udziałem kilku Zaolziaków.

Wystrzały w ciemnościach

Dramatyczną relację z przebiegu pierwszej akcji podał w swoich wspomnieniach „Przepust Karpacki” (Warszawa 1992) Józef Kasperek, wówczas młody podchorąży i zastępca dowódcy oddziału porucznika Jerzego Szymańskiego. Oddział tworzyli znajomi Kasparka, studenci ze Lwowa, i członkowie organizacji paramilitarnych – Związku Oficerów Rezerwy, Związku Rezerwistów, Związku Strzeleckiego, a także ochotnicy z werbunku Komendy Powiatowej Przysposobienia Wojskowego i Wychowawczego w Stryju; tylko w funkcjach dowódczych byli żołnierze z garnizonu w Stanisławowie. Oddział prócz dowódcy składał się z 21 bojowców i trzyosobowego patrolu minerów z Zaolzia. Patrol miał zniszczyć mosty przez rzekę Borżawa i przewody telefoniczne na drodze między miejscowościami Dohé i Kerecky, leżącymi w głębi kraju. Zadanie to było dość uciążliwe, tak więc po kilku dniach marszu góorskimi grzebeniami dowódca oddziału 28 października wieczorem postanowił zaatakować bliżej położony most przez rzekę Rika w miejscowości Wuczkowo na drodze z Wolowego do Chustu. W czasie schodzenia z gór zgubił się strzelec Zygmunt Szeremeta, a podczas akcji przy moście zniknął gdzieś jeden z minerów, Rudolf Sobosz. Pozostali dwaj minery, Jan Filipek

i Karol Musioł, przymocowali ładunki trytolu do filarów, zanim obrońcy mostu zdążyli zareagować. Ich próba uniemożliwienia ataku została odparta.

Kasperek w swoich wspomnieniach pisze o bieganiu po moście i wołaniu wartowników, o dwu wystrzałach, po których nastąpiła długa cisza, potęgowana szumem rzeki a przerywana dalekim głosem: *Pane starosta! Pane starosta! – Co tam – pyta jakiś głos. – Pane starosta – odpowiada ktoś krzykiem – byli tu jacyś ludzie! – Ludzie byli? – upewnia się dopiero co nazwany przedstawiciel władzy. – No to co, że byli? – Byli z puszkami! – Z puszkami? – w głosie pytającego przebija niedowierzanie. – A gdzie oni są teraz? – Nie wiem. Myślę, że gdzieś tutaj. – No to chodź, zobaczymy! – Znow dudnienie kroków na moście. Ich odgłos zdaje się ujawniać dosyć dużą grupę. Idą szybko. Nagle kroki cichną, a rozbrzmiewają krzyki: – Stój! Ty kto? Stóóó! – Słyszę wznowiony bieg i kilka strzałów. Bieg ustał. Parę energicznych kroków i ostro zadane pytanie: – Ty kto? Mów! – Pada strzał, a tuż po nim dochodzi mnie odgłos walącego się na most ciała. Rzekomy starosta został podobno ciężko ranny i z rozpaczą w głosie błagał napastników, żeby go dobili: *Pánové Poláci... Prosim vaš... jsem Čech, nie dowolte mi tak mučiti se...* Spełnili jego prośbę. Gdy tylko rozbiegli się do zbrocza nad rzeką, doszedł ich huk eksplozji ładunku pod mostem.*

Całe to zajście czescy obrońcy mostu widzieli nieco inaczej. Jednym z nich był wachmistrz żandarmerii Arnošt Botor, nawiasem mówiąc, również rodak ze Śląska Cieszyńskiego – z Radwanic pod Ostrawą; po wojnie służył na posterunku w Suchej Górnej. Według jego wypowiedzi pierwszy zauważył intruzów wachmistrz Michał Soljak i oddał strzał w ciemno. W chwilę potem wracał do domu przez most miejscowy obywatel, leśniczy Josef Loj, i ledwo zamienił parę słów ze Soljakiem, gdzieś z krzaków padł strzał i rzucił Loja na ziemię. Ranny Soljak zdążył zaciągnąć go w bez-

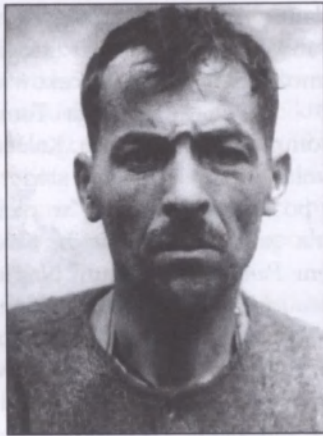
piecniejsze miejsce i przywołać na pomoc resztę załogi z posterunku żandarmerii w Wuczkowie – dowódcę, starszego wachmistrza Tomáša Kalčíka, i wachmistrza Batora. Kalčík latarką poświecił na leżącego Loja i stwierdził, że nie żyje. Stojąc nad Lojem w pierwszej chwili nie uświadomił sobie, że to on stał się teraz doskonałym celem. Nagle z ciemności znów padły strzały. Jeden z nich trafił Kalčíka. Kalčík zmarł w drodze do szpitala w Chuście, ranny Soljak wyleczył się.

Tymczasem oddział dywersyjny szybko sformował się w drogę powrotną i ruszył ku północnej granicy. Po drodze zaatakował jeszcze leśniczówkę koło Siniewirskiej Polany i zastrzelił leśniczego Katriňáka. Jak pisze Kasperek, bojowcy uciekali w chłódzie i deszczu, byli głodni, uwierały ich buty i padali ze zmęczenia. W ostatniej wsi przed granicą dali pewnemu chłopu pieniądze, aby kupił dla nich w sklepie pięć chlebów. Kapral Keller chciał również 30 pudełek papierosów, które podobno tu były tańsze niż w Polsce. Według Kasparka zdradziła ich właśnie owa chciwość i na ich ślad naprowadziła żandarmów. Tuż przed granicą oddział podzielił się na trzy grupy. Dwie bez strat przeszły do Polski, trzecia miała mniej szczęścia. Jej członkami byli chory strzelec Marek Hliński ze Stryja, który nie mógł iść o własnych siłach, oraz dwóch jego kolegów, którzy prowadzili go i podpierali. Byli to student prawa ze Stryja podchorąży Marian Pisch, oraz sanitariusz oddziału Rudolf Hawelka, z urodzenia również Zaolziak pochodzący z Trzecieża, który wraz z matką przeprowadził się do Polski w 1919 roku. Prawie dotarli już do kamienia granicznego z numerem 18, gdy nagle zauważył ich czeski patrol żandarmerii i zaaresztował.

Do niewoli dostał się również minier Rudolf Sobosz. Pochodził ze Skrzeczonia, gdzie pracował jako robotnik, a wcześniej wyuczył się krawcem. Po wstąpieniu do



Marian Pisch



Marek Hliński



Rudolf Hawetka

Organizacji Bojowej przeszedł wyszkolenie dywersyjne w Żywcu; tam nauczył się obchodzić z materiałami wybuchowymi. Od mostu w Wuczkowie uciekł jednak zaraz po tym, jak rozległy się pierwsze dwa wystrzały. Plecak z ładunkiem wybuchowym i mechanizmem zegarowym zagrzebał w rowie przy drodze i całą noc i dzień następny uciekał lasami, nie wiedząc dokąd. Zatrzymał się dopiero u pewnego rusińskiego chłopca, którego dom stał na odludziu, tam coś zjadł i zasnął. Wieczorem przyszedł do niego czechosłowacki żołnierz. Aresztowania uniknął tylko ostatni z tych, którzy „zgubili się” po drodze, a to Zygmunt Szeremeta. W drodze do Wuczkowa spadł do jaru. Rano znalazł go miejscowy rolnik, zabrał go do domu i ukrywał cały tydzień. Rolnik należał prawdopodobnie do miejscowych Węgrów, ponieważ po tygodniu przeprowadził Szeremetę na południe, na tereny, które w tym czasie, po arbitrażu wiedeńskim, przypadły Węgrom. Potem już Szeremeta bez obaw zameldował się władzom, 11 listopada został przesłuchany przez polskiego przedstawiciela wojskowego i mógł wrócić do domu.

W Polsce przerzedzonemu oddziałowi Szymańskiego zgotowano uroczyste powitanie, a w miejscowości Dolina przygoto-

wano dla niego ucztę z wódką. Pierwsze meldunki mówiły o wielkim sukcesie operacji. Szef Oddziału II Sztabu Głównego płk Pełczyński swemu węgierskiemu kole-dze pochwalił się nawet, że most w Wuczkowie został zniszczony, a czterech czeskich żandarmów i trzech żołnierzy w czasie akcji poległo. W rzeczywistości jednak most został tylko nieznacznie uszkodzony. Natychmiast też wzmocniono jego obronę, do której przydzielono dziesięciu żołnierzy z garnizonu w Chuście i czterech żandarmów odkomenderowanych ze Słowacji. Kiedy do Wuczkowa 29 października dotarł oddział Tadeusza Buriana, wysłany tu aby zniszczyć most, było już za późno. Chociaż oddział próbował kilkakrotnie atakować most, za każdym razem został odrzucony, a most pozostawał nietknięty. Od 1 listopada, gdy do Wuczkowa przybył z wizytacją dowódca batalionu Straży Obrony Państwa ppłk Zeman z plutonem żołnierzy, a przy moście postanowiono samochód pancerny, ataków zaniechano.

Oprócz czterech wziętych do niewoli członków oddziału porucznika Szymańskiego byli już w czechosłowackich rękach także dwaj inni bojownicy z oddziału podchorążego Tadeusza Langa, który 26 października w okolicy Bereznego uszkodził drogę,

kolej żelazną, przewody telefoniczne i wysokiego napięcia (również w tym oddziale byli Zaolziacy – bracia Brzeźniakowie z Szo-nychla i Rudolf Stawowczyk ze Skrzeczonia). Obydwaj aresztowani bojowcy zdezerterowali z oddziału krótko po przekroczeniu czechosłowackiej granicy. Pochodzili z Turki, a w akcji znaleźli się z przydziału miejscowego Przysposobienia Wojskowego. Jan Jabłoński był listonoszem, był żonaty i miał troje dzieci, nie był żołnierzem. Uciekł z pierwszego noclegu, próbował wrócić do Polski, lecz został zatrzymany przez strażników. Marian Gogolewski pracował jako robotnik w tartaku i był kawalerem. Z oddziału zbiegł na drugi dzień rano, w czasie gdy jego koledzy szykowali się do wymarszu. W lesie spotkał dwu miejscowych chłopów i przypomniał sobie, że ma 100 koron czechosłowackich, które każdy z bojowców otrzymał na drogę. Poprosił więc jednego z cywili, żeby mu (według jego własnych słów), *kupił coś do jedzenia, np. wino, cygaro, chleb i jakieś papierosy*. Czekając cieszył się już może z dobrego zakupu, gdy tymczasem wysłannik wrócił w towarzystwie dwu żandarmów. Wieczorem na posterunku w Wielkim Bereznie spotkali się z Jabłońskim.

Ekzekucje, morderstwa czy śmierć w czasie ucieczki?

Jak wynika z dochowanych protokołów przesłuchań, aresztowani w pełni przyznali się do wszystkiego, podali wiele nazwisk i szczegółów dotyczących przygotowania i przebiegu operacji „Łom”. Niektórych z nich oraz materiały wybuchowe przedstawiono potem dziennikarzom na konferencji prasowej. W czechosłowackiej i zagranicznej prasie pojawiły się artykuły, które imiennie ujawniały organizatorów ataków. Meldunek dzienny oficera operacyjnego dowództwa akcji dywersyjnej na Rusi Zakarpackiej kpt. Romiszowskiego z 1 listopada nie krył obaw: *Podobno 4 szczęściarze [kryp-*

tonim bojowców] dostali się siostrzeńcom [kryptonim Czechów], którzy dowiedzieli się, kto i co... To był bez wątpienia jeden z powodów, dla którego na początku listopada tymczasowo wstrzymano operację „Łom” i całkowicie ją zreorganizowano.

Zaraz potem z placówki Ekspozytury 2 Oddziału II w Użhorodzie nadeszła kolejna, jeszcze bardziej zaskakująca wiadomość wysłana 4 listopada wieczorem: *Dnia 3 XI w nocy Czesi wpędzili do rzeki Uh pod m. Kamenica (10 km na północny wschód od Użhorodu) 6 naszych dywersantów. Zabili 3 dywersantów: Gogolewskiego Mariana, Pisha Jana [powinno być Pisha Mariana], i Szczupłego [pseudonim Marka Hlińskiego]. Pozostali 3 ranni wyszli z wody po odejściu żandarmów. Jeden z nich, Jabłoński Jan, doszedł do szpitala w Użhorodzie; tymczasem nic mu nie grozi ze strony Czechów. Jaki jest los pozostałych 2 dywersantów kpt. Guttry [referent Ekspozytury 2 w Użhorodzie] nie wie, stara się ich odnaleźć.*

Co jednak naprawdę wydarzyło się w ową noc listopadową w malowniczej dolinie rzeki Uh, która w Newickiem pod resztkami czternastowiecznego zamku rozlewa się w szerokim korycie i kieruje ku Użhorodu?

Miejsce wydarzeń nie znajdowało się pod Kamenicą, lecz niedaleko wsi Onokowce, odległej zaledwie pięć kilometrów od Użhorodu, przy drodze na Perecin. Tą właśnie drogą odbywała się w tym czasie ewakuacja czechosłowackich urzędów z Użhorodu, który był, podobnie jak Berehowo, Mukaczewo i inne miasta na południu Zakarpacia, decyzją Arbitrażu Wiedeńskiego przyznany Węgrom. W czasie gdy autonomiczny rząd Rusi Zakarpackiej oraz Urząd Krajowy przeprowadzały się do dalekiego Chustu, krajowa komenda żandarmerii oraz dyrekcja policji i sąd okręgowy ewakuowały się do Wielkiego Bereznego, leżącego nad górnym tokiem rzeki Uh, około 40 kilometrów od Użhorodu. Tam prawdopodobnie byli kierowani także polscy jeńcy. Dlaczego

jednak ich droga skończyła się już w Onokowcach, tuż za nową linią graniczną?

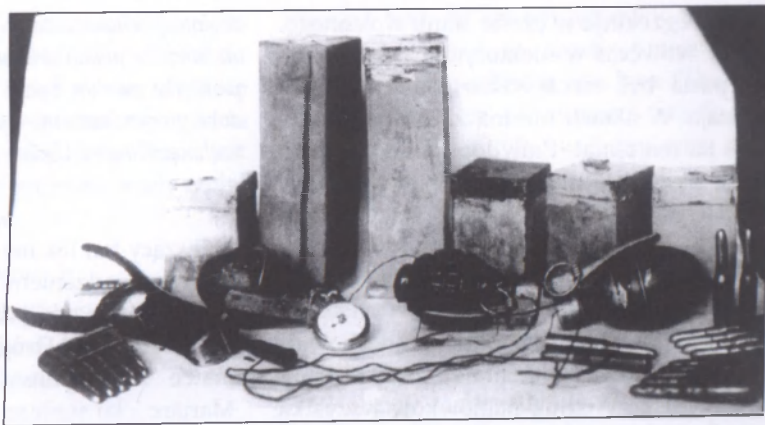
Świadek koronny wydarzeń Jan Jabłoński mógł mówić od razu o potrójnym szczęściu. W czasie strzelaniny został tylko ranny i udało mu się uciec. W Onokowcach mieszkali w większości Słowacy, którzy Polakom byli bardziej przychylni niż Rusini; zastępca sołtysa Juraj Fedor odwiózł rannego do szpitala w Użhorodzie, gdzie umożliwiono mu kontakt z polskim konsulem. Trzeci szczęśliwy zbieg okoliczności polegał na tym, że czas do momentu wejścia Węgrów do miasta liczył się już na godziny; wkrótce więc był bezpieczny i niedługo wrócił do Polski. Podobnie uratowali się dwaj inni bojownicy, którzy dostali się do czeskiej niewoli podczas walki 2 listopada. Dowódce oddziału Kazimierza Majchra „wykradł” pono z więzienia w Użhorodzie dr Rauch, z pochodzenia Węgier, również Tomasz Mikesicz z Mostów p. Jabłonkowem został z więzienia uwolniony przez Węgrów.

Za pośrednictwem Jabłońskiego Warszawa dowiedziała się więc o strzelaninie w Onokowcach już kilka godzin po wydarzeniu. Droga dyplomatyczną mogła jednak interweniować dopiero po zakończeniu operacji „Łom”, czyli w grudniu 1938 r., a nawet i wtedy nie bezpośrednio. Bojownicy szykujący się do akcji byli bowiem (np. według relacji Józefa Kaspeka) zawsze uprzedzani o tym, że w razie pojmania i uwięzienia nie będą mogli liczyć na polską interwencję w ich sprawie, gdyż Polska się do akcji nie przyzna. Dlatego również polska nota z 7 stycznia 1939 r., w której żądano wyjaśnienia losu jeńców, powoływała się wyłącznie na artykuły o „rzekomych” polskich dywersantach, zamieszczone w czechosłowackiej prasie. I chociaż armia żądała dokładnie oświecić barbarzyński sposób obchodzenia się Czechów z przyłapanymi ludźmi, podobnie jak sprowadzić z Rusi Zakarpackiej do kraju zwłoki poległych, uświadamiała sobie jednocześnie, że istnieją przeszkody polity-

czne, które wymagają takiego sposobu załatwienia, by nie uzewnętrzniać udziału w akcji czynników oficjalnych, tak wojskowych, jak i administracyjnych, gdyż w obecnej chwili jest na to jeszcze za wcześnie. Nawet delegacje oficerów, wysłane z kondolencjami do rodzin poległych i zaginionych, miały według instrukcji działać poufnie, tj. rozmawiać jedynie z rzeczywistymi członkami rodziny, prosić ich, by o fakcie przyjazdu delegacji od Pana ministra spraw wojskowych ani też przyczynach śmierci członka rodziny nie rozgłaszali, gdyż mogłoby to utrudnić sprowadzenie zwłok.

Pod presją Warszawy czechosłowackie Ministerstwo Spraw Zagranicznych już 28 grudnia zwróciło się do Ministerstwa Obrony Narodowej z żądaniem wyjaśnienia losu polskich jeńców, a 17 stycznia 1939 r. ponowiło swe żądanie. Urzędy obawiały się, że strona polska będzie łączyła tę sprawę z rozmowami na temat uwolnienia 20 czechosłowackich żołnierzy i żandarmerów, uprowadzonych w listopadzie do Polski, ba, że może nawet sięgnąć do retorsji za domniemane egzekucje polskich terrorystów. Pierwsze dochodzenie prowadzone przez dowództwo VI korpusu ujawniło, że branie do niewoli polskich obywateli w związku z akcjami terrorystycznymi miało miejsce tylko w 12. dywizji. W meldunku zostało wymienionych wszystkich sześć znanych nazwisk, lecz z uzupełnieniem, że wszyscy w czasie okupacji czechosłowackich terenów pozostali w Użhorodzie. Dopiero kolejne śledztwo zakończone 30 stycznia wykazało, że trzech wzięci do niewoli terrorystów byli podczas eskortowania w nocy z 3 na 4 listopada 1939 zastrzeleni w czasie próby ucieczki przez rozwodnioną rzekę Uż. Chodziło o Hlińskiego, Gogolewskiego i Pischę (w transkrypcji Pisz), pogrzebanych na cmentarzu w Onokowcach. Rudolf Hawelka tej nocy w czasie ucieczki prawdopodobnie utopił się w rzece, natomiast Rudolf Sobosz zdążył uciec. Ostatni z szóstki jeńców, Jan Jabłoński, rzekomo umarł w szpitalu w Użhorodzie i tam został

*Materiały
wybuchowe, które
strona czechosłowacka
pokazała dziennika-
rzom na konferencji
prasowej*



również pochowany. Meldunek zakończono alibistycznym stwierdzeniem: *Świadców nie można podać, gdyż wszystko rozgrywało się w pełnym tempie ewakuacji bezpośrednio po decyzji wiedeńskiej, tak że dowódców i członków eskort dziś już nie można stwierdzić. (...) Nowe śledztwo, które miałyby toczyć się w tej sprawie, nie przyniosłoby już nic nowego.*

Armia więc próbowała uniknąć odpowiedzialności za śmierć jeńców. Jedyne konkretne nazwisko z kręgu eskorty stwierdził Józef Kasperek, który wspólnie z ojcem Pischą na wiosnę 1939 r. udał się na wówczas już węgierskie Zakarpacie w poszukiwaniu śladów zaginionych współtowarzyszy. W Onokowcach miejscowi powiedzieli mu, że nazajutrz po podaniu do wiadomości, że Węgrzy dostali Użhorod, pod ich wieś przyprowadził niejaki Koenig, funkcjonariusz oddziału wywiadowczego policji z Użhorodu, trzech aresztowanych Polaków. Rozwiązał im ręce, rozkazał biec ku rzece i z tyłu wszystkich zastrzelił. Ciała zostawił w rzece i odjechał, a wieśniacy pogrzebali je później na wiejskim cmentarzu.

Materiały policji z tego okresu nie dochowały się, w aktach oddziału wywiadowczego armii zaś nie ma najmniejszej nawet bezpośredniej wzmianki o tym niecodziennym wydarzeniu w Onokowcach. Jest to zadziwiające zważywszy, iż meldunków na temat mniej doniosłych wydarzeń z począ-

tku listopada 1938 r. nie brakuje. Świadczy to najprawdopodobniej o celowym usunięciu wszelkich notatek na temat incydentu. Tym samym czechosłowackie urzędy przyznały, że nie wszystko w tej sprawie było czyste. Czy rzeczywiście chodziło o uniemożliwienie próby ucieczki? Dlaczego więc prowadzono jeńców ku rzece w Onokowcach, zamiast eskortować ich do Bereznego, co wydaje się bardziej prawdopodobne? Jak mogła zacząć biec cała sześćosobowa grupa spętanych osób? Późniejsze ekshumacje podobno potwierdziły, że wszyscy trzej zabici byli zastrzeleni od tyłu. Dlaczego jednak wartownicy pozwolili umknąć trzem innym jeńcom? Czy stało się tak na skutek nocnych ciemności i złej pogody? Być może przypuszczali, że tamci nie żyją, a o ich czynie w chaosie ewakuacji nikt się nie dowie.

Co mogło być przyczyną ich niepotrzebnego okrucieństwa? Chęć zemsty? Polscy bojowcy czasem zastrzelili również osoby cywilne, a instrukcje dla członków oddziałów bojowych, wydane przez szefa Oddziału II, wśród wskazówek taktycznych zawierały również zalecenia: *Jeńców Czechów rozbrajać i odrzucać, broniących się likwidować.* Jeńcy jednak, może z wyjątkiem Mariana Pischy, w walkach na Zakarpaciu w ogóle nie uczestniczyli, a niektórzy nawet zdezerterowali, czy więc mogły być powody do zemsty? Także przypuszczenie, że mogły

to być egzekucje w czasie stanu wojennego, który wówczas w niektórych częściach Zakarpacia był rzeczywiście ogłoszony, nie obstaje. W aktach nie ma żadnych wzmianek na ten temat. Prawdopodobnie była to więc samowola urzędników państwowych, lecz ich czyn powinien być zostać zbadany i osądzony.

Listy pożegnalne

W jednej z teczek II Oddziału dochowały się, bez słowa komentarza, trzy ręcznie pisane listy. Według nagłówek wszystkie miały zmierzać do Turki i wszystkie były pisane 1 listopada 1938 r. w Użhorodzie, chyba w więzieniu, skąd zatrzymanych wyprowadzono potem na śmierć. Istnienie tych listów pozwala przypuszczać, że strażnicy oznajmili jeńcom, co ich czeka, i pozwolili im napisać kilka słów na pożegnanie.

Pierwszy list pisał swej żonie Bronisławie do Turki Jan Jabłoński. Pismo na początku listu jest rozchwiane, są częste skreślenia, dopiero pod koniec ręka piszącego trochę się uspokoiła:

Kochana Broneczko

*Wszystkie krzywdy wyrażone przeze mnie
wybrać mi
może kiedyś postępowałem względem Ciebie
nie dobrze ale musisz się pogodzić z losem
Pan Bóg mie Tobie zabrał to Ciebie nie opuści
będzie pamiętać o Tobie i na tamtym świecie
Wiesz dobrze że od
małego dziecka nie miałem szczęścia tak do
końca Ja na tamtym świecie będę się starać
być zawsze koło Ciebie Panom polskim
możesz podziękować zato – że mie
rozłączyli z Tobą
nusz na co? Ziemie udaj się
gdzie tylko zauważasz Ażeby Ci dali rentę
po mie bo Ci się należy i musisz ją dostać
Rower mój warto je 65-70 złotych resztę
rzeczy także sprzedaj Dzidzia jak będzie duża
niech chodzi do mojej Matki – co po mie to
Dzidzi pamiętaj Portret mój zawiesz na*

*czołowej ścianie i dzieci niech się modlą
za mną To piśmo schowaj jako ostatnia
pamiątka po mie Życzę Ci wszystkiego
dobrego pozdrawiam wszystkich Twój
kochający mąż i Ojciec*

Janek Jabłoński

Piszący ten list nie przeczuwał, że szczerliwym zrządzeniem losu on jedyny z całej grupy uratuje się i już wkrótce spotka się ze swoją rodziną. Drugi list adresował swej matce Katarzynie Gogolewskiej jej syn Marian:

Kochana Mamo

*Niegniewajcie się na mie i przebacście mi
wszystko [kilka słów jest nieczytelnych] Dziś
ostatni raz piszę do was
Moja godzina wybiła
Starajcie się koniecznie o jakieś pieniądze
po mie abyście jakoś żyli Dowiedźcie
się do kogo macie iść naprzód Idźcie
do Sokół do Picia oni muszą wam
dać ubezpieczenie albo powiedzieć do
Kogo macie s tem iść Nie smućcie się
może ście mie tak przekleli jak wam
co zrobiłem to wybacście bo ja idze
na prawdy Pozdrówcie tam wszystkich
odemie i niech Jochan da znać do
żydzika że ja więcej się z nimi widzieć
nie będę i niech powie Hanusi że ja
już więcej z nią gadać nie będę niech
się z odnowa wydaje kogo chce
Pozdrawiam was wszystkich w domu
bo ja kończę życie*

Marjan Gogolewski

Sześćdziesiąt lat list ten leżał w praskim archiwum i mama Mariana nigdy nie dowiedziała się, że jej syn w ostatnich godzinach życia wspominał ją z miłością. Podpis pod listem zdradza twardą, mozolną rękę robotnika i znacznie różni się od pozostałego tekstu. Prawdopodobnie Marian z jakiegoś powodu nie mógł sam pisać listu i dyktował tekst Jankowi Jabłońskiemu.

Przy porównaniu obydwu rękopisów jest to na pierwszy rzut oka widoczne. Jabłoński pisał także trzeci list, który jednak różni się od dwu poprzednich. Jest adresowany Janu Piżowi z kierownictwa Sokoła w Turce, jest pełen wyrzutów, które być może miały wpłynąć na prześladowców:

Droży Panowie Komendancie

*Dziękujemy wam za tak szybki zgon z tego świata
Już wam Pan Bóg też dobrze nie da za naszą
zgubę bo wyście dobrze wiedzieli gdzie
wy nas wysyłacie Jeżeli wyście tak
parę razy to braknie kogo wysyłać
i was nie będzie trzeba Nasza rodzina
będzie płakać całe życie na was boście
zabrali chlebowawców z domów
Teraz macie się postarać zabezpieczyć
nasze rodziny i musicie to zrobić
My idziemy na rozstrzelanie nasze
domy nie mogą zostać bez opieki
Terasz jak Rząd czeski pytał się za
nami toście się nas wyrzekli
powiedzieliście banda w takim razie
to i wy bandą boście nas wystali*

Pod listem znów widnieje szorstki podpis Gogolewskiego, natomiast rękopis jest, poza wszelką wątpliwość, Jabłońskiego. Kolejnym dowodem jego autorstwa jest

również fakt, że on był jedynym z aresztowanych, który w czasie przesłuchań podawał Mariana Pischę jako Jana Piżę, być może dlatego, że w ostatnich latach nie mieszkał w Turce, tylko w Ilniku, i nie znał go dobrze.

Innych listów nie ma, co chyba należy przypisać temu, że Jabłoński i Gogolewski nie byli aresztowani, a na początku także więzieni razem z innymi. Nie wiadomo więc, czy podobne listy pisali również pozostali jeńcy.

W aktach zachowały się tylko policyjne portrety wszystkich sześciu więzionych, na niektórych twarzach, zwłaszcza na twarzy Janka Jabłońskiego, widoczne są ślady kontuzji.

* * *

Pozostaje już tylko dokończyć historię przynajmniej głównych bohaterów naszej opowieści. Tylko Jabłoński szczęśliwie wrócił do swojej rodziny w Polsce. Widocznie czechosłowackie władze dowiedziały się o jego przewiezieniu do uzhorodzkiego szpitala i błędnie przypuszczały, że tam zmarł. Gogolewski, Pisch i Hliński zostali zastrzeleni w rzece Uh i pogrzebani w Onokowcach. Wszyscy trzej byli zidentyfikowani, gdy na wiosnę 1939 r. na żądanie Józefa

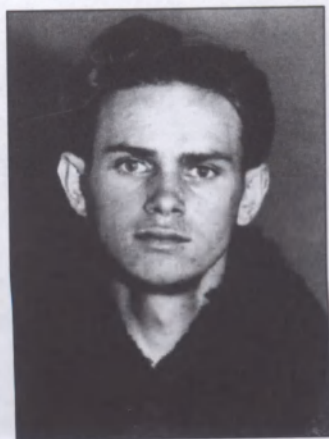
Jan Jabłoński



Marian Gogolewski



Rudolf Sobosz



Kasparka i ojca Pischa urzędowo ekshumowano ich ciała. Kasperek i ojciec Pischa chcieli później przewieźć ciała do Polski, lecz nie mieli pieniędzy na zakup metalowych trumien. Polski konsul w Użhorodzie pożyczył im 100 pengö, co starczyło jednak na kupno zaledwie jednej trumny. Przez Przełęcz Użocką przywieziono więc do domu tylko ciało Mariana Pischa i 25 lipca 1939 r. wyprowadzono go w Stryju uroczysty pogrzeb. Wkrótce potem wybuchła wojna i ciała pozostałych dwu zabitych pozostały w Onokowcach.

Niestety, nie wiemy dokładnie, co stało się z Hawelką i Soboszem. Dotychczasowe świadectwa są zgodne co do tego że Hawelka zniknął w falach rzeki Uh, lecz jego ciała nigdy nie odnaleziono. Rudolf Sobosz, przeciwnie, zdołał wydostać się z wody na drugim brzegu rzeki, oddalonym od słowackiej granicy już zaledwie o trzy kilometry. Przedostał się na Słowację, a wkrótce potem wysłał list do rodziny w Skrzeczoniu z wiadomością, że leży w szpitalu w Michalowcach. Według wypowiedzi siostry list był mało czytelny, ranny Sobosz pisał go –

Zakarpacie połoniny po sześćdziesięciu latach...



jak sam przyznał – lewą ręką. Pieczętka pocztowa na kopercie listu nosiła datę 11 listopada 1938 r. Rodzina zwróciła się z prośbą o pomoc do polskiego konsulatu w Ostrawie i jego urzędnik „Albrecht W.”, jak napisano w meldunku zastępcy szefa Oddziału II Sztabu Głównego płk. Jana Ciastonia, udał się niezwłocznie do Michalowiec. W tamtejszym szpitalu jednak 23 listopada po południu Sobosza już nie zastał. Na posterunku żandarmerii oznajmiono mu, iż widzenie się z nim jest niemożliwe, ponieważ w jego sprawie nie odbyła się jeszcze rozprawa sądowa. Pojawiła się również niesprawdzona informacja, że został przewieziony do sądu w Brnie. Na tym na razie urywają się ślady po zaginionym. Przypuszczam jednak, że z półmroku archiwów czy z okrucich wspomnień na pewno jeszcze wyłoni się chociażby cień jakiegoś nowego śladu.

Uczestnicy operacji „Łom” zostali proponowani do wysokich odznaczeń wojskowych i państwowych. O stopień wyższe odznaczenia otrzymali ci, którzy już wcześniej brali udział w akcji na Zaolziu. Również Węgrzy oznajmili Warszawie, że chcą uhonorować polskich bojowców, walczących za ich interesy państwowe. Szykowało się też udzielenie odznaczeń czechosłowackim obrońcom Rusi Zakarpackiej, lecz zanim mogło do tego dojść, Republika zanikła, a wkrótce potem zaczęła się wojna światowa. Walka za ojczyznę i naród toczyła się teraz w imię nowych wartości i byli bojowcy z Zaolzia wyszli z tej walki z honorem. Część z nich zginęła w niemieckich egzekucjach (np. J. Kominek, F. Mrajca) lub była zamordowana przez sowieckie służby bezpieczeństwa (J. Filipek); najwięcej znalazło śmierć w nazistowskich obozach koncentracyjnych (np. K. i O. Bockowie, Ferdynand Brzeźniak, I. Kluz, L. Sembol); tam zakończyło również życie wielu ich przedwojennych przeciwników, czechosłowackich żołnierzy i żandarmów z Rusi Zakarpackiej.